

Kronika tygodniowa.

Dziś, gdy już Kraków doszedł do względnego spokoju, można *sine ira et studio* zastanowić się nad wypadkami z przed dni kilku. Spokój ten nazwałbym względnym, nikt bowiem nie może nam zaręczyć, że to co się działo dni temu kilka, czy kilkanaście, nie powtórzy się znowu jutro lub pojutrze.

Mam tu na myśli demonstracje głodowo-pokojowe, których widownią był spokojny do niedawna Kraków. Nikt nawet nie przypuszczał, że nasz grzeszny lud, potrafi się zdobyć na tyle energii, by upomnieć się o to, co mu się słuszenie należy. Ale bo też i wszystko musi mieć swoje granice, więc i cierpliwość, z jaką dotąd oczekiwaliśmy zawsze na spełnienie naszych słuszych żądań. Kartki mączno chlebowe rozdaje się wprawdzie bardzo skrupulatnie i z wzorową punktualnością, ale to bieda, że zanadto często, zwłaszcza w ostatnich czasach się zdarza, że brakuje mąki, a zatem i chleba, którego z samych trocin drzewnych nie nauczone się jeszcze wypiekać.

I stało się, co się stać musiało wcześniej lub później. Gdy nie było nikogo innego, kto chciałby się upomnieć o to, co się należy, musiała zabrać głos ulica. Prawda, że przy tej sposobności przekroczono może nieco granice, koniecznością nakreślone, ale trudno. Jak powiada przysłowie „gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą“, a pewien filozof powiedział, że „kto sieje wiatr, zbiera burzę“. Było dość czasu na to, by sprawę aprowizacji miasta, zwłaszcza w kwestyi mączno chlebowej uregulować, niestety, nie znalazł się nikt, kto umiałby się tem zająć, same bowiem narzekania nie wystarczą. Dopiero teraz przypominano sobie w pałacu Wielopolskich, że mamy przecież naszych reprezentantów we Wiedniu, którzy powinni instancjonować za nami, żądamy bowiem jedynie tylko tego, co się nam słuszenie należy i postanowiono, może trochę zapóźno, żądać od nich publicznego sprawozdania z ich dotychczasowych zabiegów.

Czy jednakowoż będzie to mieć jakiś skutek, wątpić należy, nasi panowie posłowie mają głowy nabite wielką polityką i nie starczy im czasu na takie głupstwa, jak jakaś tam aprowizacja. Zaznaczałem zresztą już nieraz, że nie lubią się naprzykrzać czynnikom miarodajnym, które mogłyby im to wziąć za złe i przypomnieć kiedyś, gdy im to nie byłoby zupełnie na rękę. Rada miejska zdobyła się nawet na tyle energii, że w drodze telegraficznej odniosła się do ministerstwa amunicji żółdkowej z prośbą o ratunek w krytycznym położeniu, a pan minister odpowiedział również w ten sam sposób, że nie na to nie poradzi i że Galicya w styczniu nie może się spodziewać żadnego mącznego sukursu ze strony władz centralnych, ale sama powinna się starać o zaspokojenie apetytu swej ludności. Przy najmniej to dobre, że, dzięki Bogu, styczeń już się kończy, w lutym zaś, o ile nie będzie gorzej, mogą się koniunktury poprawić. Czy się jednakże poprawią to kwestya, gdyż jeżeli nie było do pozbycia zapasów w styczniu, nie będzie ich tem bardziej i w lutym. Luty przebidujemy może łatwiej, niż styczeń, już choćby tylko z tej racji, że jest o trzy dni krótszy.

Na całej tej sprawie najlepszy interes zrobili szklarze, ale nie powinno im się zasdrościć, boć i oni są ludźmi, i także żyć potrzebują, a eksplozje i gwałtowne huragany nie powtarzają się przecież co dni kilka.

Kronikarz, rzecz oczywista, aczkolwiek także łaknie chleba i jest zdeklarowanym zwolennikiem pokoju, w demonstracjach nie brał udziału, zachowując najzupełniejszą neutralność, co mu jednak nie przeszkodziło bynajmniej, by urządzić wywiad z jednym z młodych obywateli rozszerezonego Krakowa, który aż ochrypił (naturalnie ów obywatel, raczej kandydat na niego, nie zaś Kraków!) krzycząc: „hurra!“

Zaznaczyć zaś należy, że owe głodne rzesze składały się przeważnie z młodzieży, nawet pięci obojga, artystyczne zaś i fachowe kierownictwo spoczywało w ręku przedstawicieli żeńskiego rodzaju, w wieku nawet więcej niż krytycznym.

Młodzian ów, zapytany, czy demonstruje na rzecz pokoju, czy też z powodu braku chleba, zastanowił się najpierw głęboko, jak na przyszłego polityka przystało, poczem odrzekł z powagą:

— Nie, proszę pana!... Za pokojem na razie nie jestem, przedtem bowiem chciałbym jeszcze zdać wojenną maturę, a jestem dopiero w czwartej klasie.

— Zatem dokucza panu brak chleba albo maki! — ja mu na to.

Zamyślił się jeszcze raz, wreszcie odpowiedział:

— I to także nie!

— Jakż się zatem powód i przyczyna pańskiego osobistego udziału w demonstracji?

— Idą inni, idę i ja! W społeczeństwie powinna panować solidarność!

Rozradowało się moje serce, gdy usłyszałem te słowa i pomyślałem sobie, oby tacy na kamieniu się rodzili, a będzie kiedyś lepiej, niż jest dzisiaj. Cóż to za znakomity materiał na męża stanu, a choćby tylko na radcę miejskiego! Kiedyś, gdy dorośnie i zajmie miejsce na fotelu w pałacu Wielopolskich, nie pozwoli z pewnością, by współbracia jego mieli cierpieć głód i nędzę. Oby... chyba, że w międzyczasie zmieni zasady, bo to podobno *honores mutant mores*, a urząd rajcy miejskiego jest właśnie urzędem honorowym.

Zarzucono nieraz naszemu młodemu pokoleniu, że jest ospałe i gnuśne, tymczasem pokazało się coś zupełnie przeciwnego. Pod tym popiołem jest ogień, trzeba go tylko umieć rozdumuchać, ale to także bieda, że to dmuchanie przychodzi nie zawsze w porę i że dmuchają nieraz ci, którzy dmuchać nie powinni, co czasem może mieć i przykre następstwa, tak, jak bardzo łatwo mogło to mieć miejsce i w tym wypadku. Młodzież, łatwo zapalna, daje się powodować innym, kryjącym się roztropnie za jej plecy i nie zdaje sobie sprawy, na co się naraża.

I to mi się właśnie bardzo nie podobało w czasie ostatnich demonstracji ulicznych, iż zbyt wiele brało w nich udziału nieletniej młodzieży, która często nie wie sama o co kruszy kopie, a nie znalazł się nikt, kto chciałby ją odwieść od tego. Są przecież i rodzice, są i pedagogowie, ale widocznie i jedni i drudzy stracili na nią swe wpływy. Miejmy nadzieję, że to tylko objaw wojenny. Później, gdy wrócimy do normalnych stosunków, poprawi się i to, choć, kto wie, czy nie przyjdzie to już z pewną trudnością. W każdym razie, nawet i w czasie wojennym powinno się o tem pamiętać, że na politykowanie i udział w życiu publicznym jest czas po dojściu do pełnej świadomości, więc niechajby już choć po zdaniu matury. Tak bywało dawniej, tak powinno być i dzisiaj.

Miejmy jednak nadzieję, że się to już nie powtórzy, bo najpierw nie będzie powodu do dalszych demonstracji, gdy się losem naszym zajmą nasi wybrańcy a chyba to potrafią, jeśli zechcą, pozatem zaś dom i szkoła dołoży starań, by młodzież powstrzymać od nierozważnego kroku.

Być może, że nie mam racji i że znajdzie się ktoś, kto mi wytknie, iż jestem zacofany i zapatruję się na te sprawy oczyma naszych dziadów i pradziadów. Przyznam mu słusność, ale równocześnie dodam, że dawniej, gdy tak tę kwestję traktowano, jak ja ją tutaj poruszyłem, było stanowczo lepiej. Młodzież dojrzewała politycznie może później, niż dzisiaj, ale też i dłużej zachowywała świeżość umysłu. W obecnych nowoczesnych stosunkach zbyt często się zdarza, że młodzieniec, zaledwie doszedł do pełnoletności, już jest zniechęcony do życia, a tego chyba za objaw postępu uważać się nie powinno.

Ale trudno i to także musi się policzyć na karb zdenerwowania, wywołanego wojną i jej następstwami.

Przeczytawszy, co dotąd napisałem, aż się sam złapałem za głowę. Szczególniej, gdy sobie jeszcze przypomniałem, że teraz karnawał, choć bez pączków. Ten poważny ton należało sobie zachować na czas wielkopostny, coraz bardziej się już zbliżający. Popielcowy śledź kiwa już ku nam swym ogonem, ale tylko *in effigie*, gdyż tak już zesłiliśmy na psy, iż w tym roku obejść się będziemy musieli i bez śledzi. Tu i ówdzie sprzedają wprawdzie po sklepach coś na ich obraz i podobieństwo, ale to coś nie jest nawet godnem, by się mogło śledziem nazywać, a kosztuje tyle, że dawniej za te pieniądze można było kupić całego wieloryba. Anglia powiedziała sobie, że nie pozwoli nam jeść śledzi nawet neutralnych, byśmy raz już, jak to powiadają „zjedli śledzia“, ale pod tym względem przebiegła się, gdyż z tego powodu nikt jeszcze nie umarł. Trudniej daleko obejść się bez maki i chleba a przecież dzięki wojnie i do tego jakoś już się przyzwyczailiśmy. Jeśli tak dalej pójdzie w tem samym tempie, jak dotąd, każdy z nas będzie mógł kiedyś popisywać się jako zawodowy głodomór, wobec którego zblednie gwiazda nawet takiego artysty w tym „fachu“, jakim był w swoim czasie pan Succì.

Kto zaś temu winien, tego już sam nie wiem. Dotąd narzekałem na wszelkiego rodzaju Centrale i, zdaje mi się, miałem rację, skoro zgodził się na to i pan dr. Frühling. Ale nie tylko Centrale dają nam bobu. Wszystko spiknęło się na nas, wypowiedziały nam posłuszeństwo nawet tak potulne kury i choć niema jeszcze odpowiedniej Centrali, nie chcą znosić jaj, które wobec tego kupować się musi obecnie na wagę złota. Kury urosły w dumę, każda uważa się co najmniej za papier wartościowy, jaja zaś za kupony od niego, nie też dziwnego, że za okaz bynajmniej zbyt nie wypasiony, żądają na targu i po pięćdziesiąt koron. A są tacy, zwiadcza zaś takie, które tyle płacą.

Do tego rodzaju ludzi, mogących sobie na podobny zbytek pozwolić, należą w pierwszym rzędzie różni dostawcy wojenni i aprowizatorowie, następnie zaś dzentelmeni-paskarze, czyli handlarze łańcuszkowi,

o których dotąd jeszcze nigdy nie pisałem, więc bodaj dziś pragnę im słów kilka poświęcić.

Temat to zaś nadzwyczaj wdzięczny, któremu, o ile przynajmniej słyszałem, ma, w wydać się mającej po wojnie „Zoologii rodzaju łańcuszkiego“, autor poświęcić specjalny rozdział ku zbudowaniu potomnych.

Dlaczego nazywają się „paskarzami“, w to wchodzić nie myślę, zaznaczyć tylko muszę, że to miano nie jest u nas tak popularnem, jak, dajmy na to w Warszawie. Dawniej cieszone się tam „piaskarzami“, obecnie przyszła kolej na „paskarzy“. U nas spotyka się daleko częściej z określeniem „handlarze łańcuszkowi“. Jedni twierdzą, że tytuł ten pochodzi od tego, iż tworzą oni ogniwa sympatycznie łańcuszka, prowadzącego od kabzy jakiegoś przemysłowca do kieszeni nabywcy, inni natomiast są zdania, że odnieść go należy raczej do łańcuszka, mającego być kiedyś nagrodą obywatelskiej ich działalności w wojennym czasie.

Do tego, powiedzmy, urzędowego tytułu „paskarz“ lub „handlarz łańcuszkowy“, przybywa obecnie drugi, więcej już honorowy, nadany im z woli adwokata dra Frühlinga, który nazywał ich „dzentelmenami“. Dotąd z wyjątkiem tem spotykaliśmy się najczęściej na afiszach kina, zapowiadających występy Psylandra w roli „dzentelmena włamywacza“, odtąd mamy w ten sposób nazywać i paskarzy, będących także pewnego rodzaju włamywaczami do naszych kieszeni.

Pan doktor Frühling omawiając na posiedzeniu krakowskiej Rady miasta błogosławioną i obfitą w skutki działalność rozmaitych Centrali, miał się wyrazić, że w porównaniu z niemi, są owi „paskarze“ jeszcze „dzentelmenami“. Tak ich to ucieszyło, iż odtąd, ilekroć paskudny los narazi ich kiedykolwiek na zatarg z prawem, postanowili jednogłośnie rzecznictwo swych interesów oddawać tylko temu, a nie innemu obrońcy. Bo i komuż mieliby je powierzyć, chyba nie prokuratorowi, nie rozumiejącemu bynajmniej ich intencji, jak jawny tego dowód mieliśmy na wystąpieniu byłego prokuratora, dra Langa, na temże samem posiedzeniu. Mał też najzupełniejszą rację dr. Frühling, oświadczając, że „odzywa się prokurator“.

Paskarze nie są bynajmniej zadowoleni z tego publicznego przypomnienia ich obywatelskiej działalności opinii, a jak najzupełniej nie poszło im w smak, że wmieszano w to i pana prokuratora, którego lepiej nie ruszać, skoro siedzi cicho.

Obywatelską działalność panów paskarzy, czy też, jeśli kto woli, handlarzy łańcuszkowych określić można bardzo łatwo.

Pan A., jakiś większy przemysłowiec, lub fabrykant ma do pozbycia pewne *quantum* jakiegoś towaru. Przy pomocy pośrednika B nabywa go pan C., po to tylko, by zaraz tego samego dnia pozbyć się całego zapasu na rzecz pana D., który działa w imieniu swego przyjaciela politycznego, pana E. Ale pan E. przypadkowo „w tym towarze nie robi“, nie też dziwnego, że ogląda się zaraz za nabywcą, używając w tym celu pośrednictwa pana F. i zadowolając się małym zyskiem, odprzedaje cały zapas panu G., przysięgając na wszystkie świętości, że „niech go tak szlag trafi, ale nie zaraz i nie na tem miejscu, ile on z własnej kieszeni dokłada do tego interesu“.

Ale pan G. „na razie“ tego towaru też nie potrzebuje, stara się też puścić go dalej w kurs, ponieważ zaś dowiedział się od pan I., że pan J. „chciałby trochę gotówki włożyć w jakiś pewny interes“, przez owego pana I. zgłasza się do niego i dubija targu. Od pana J. w podobny sposób wędruje towar do pana K. L. M. N. i tak dalej, aż wreszcie utkaie na jakimś prawdziwym kupcu, który go potrzebował i stąd rozejdzie się do drobnych nabywców, ale po cenach co najmniej kilkakrotnie wyższych od tej, za jaką pozbył się go pan A., bo każde z tych mitych ogniwek owego łańcuszka dolicza na swe dobro bodaj drobną kwotę „za fatywę i na pokrycie strat ewentualnych“. Nie jest też wykluczonem, że w międzyczasie, o ile to była n. p. wódka lub wino, ten i ów „dla wszelkiej pewności“ dołąd od siebie bodaj trochę wody, by uchronić się od „manka“. Dodać należy, że większość paskarzy nie ogląda nawet towaru, im wystarcza sama faktura.

Wielcy przemysłowcy nie są tutaj też bez winy. Taki pan A., wielki przemysłowiec lub fabrykant, nie odstąpi nigdy towaru właściwemu nabywcy, który go potrzebuje, ale wprost zmusza go do oddania się w opiekę pośredników, których opłaca ostateczny nabywca drobny i nie też dziwnego, że na nich narzeka, nazywając ich nie „dzentelmenami“, ale co najmniej, o ile nie jest zbyt podrażniony, hyenami, żyjącymi cudzą krzywdą.

A że ma najzupełniejszą rację, temu chyba nikt zaprzeczyć nie może.

